№ 10. Warszawa, dnia 25 Lutego (9 Marca) 1881 r. Rok II.



PISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA KOBIET, WYCHODZĄCE W KAŻDĄ ŚRODĘ.
POŚWIĘCONE LITERATURZE, WSZELKIM GAŁĘZIOM PRACY KOBIECEJ ORAZ MODOM.

Warunki prenumeraty Edycyi I-ej, w Warszawie: Miesięcznie kop. 42, kwartalnie rs. 1 kop. 25, półrocznie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 5.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 1 kop. 60, półrocznie rs. 3 kop. 20, rocznie rs. 6 kop. 40.

ADRES REDAKCYI:
ulica Niecała Nr 8.

Warunki prenumeraty Edycyi II-ej, w Warszawie: Miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop. 50, rocznie rs. 9.
Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12.

PROJEKT USTAWY
TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ DZIECI.

Wobec szczerego i szerokiego zainteresowania, jakie budzi wśród ogółu sprawa Towarzystwa Przyjaciół dzieci, sądzimy, iż dobrze się przysłużymy czytelniczkom naszego pisma, pomieszczając w całości projekt Ustawy, tej tyle pożądanej instytucyi.

I. Cele Towarzystwa.

1. Zadaniem Towarzystwa jest przyczyniać się do prawidłowego rozwoju młodych pokoleń, obudzać poczucie obowiązków macierzyństwa i przychodzić mu z pomocą moralną i materyalną.

2. Dla osiągnienia swych celów, Towarzystwo:

a) upowszechnia zasady zgodne z powyższem zadaniem; odpowiednie temu wypracowania drukiem ogłasza; urządza odczyty i wystawy; ustanawia konkursa i tym podobne przedsiębierze środki;

b) udziela opiekę i pomoc brzemiennym ubogim kobietom;

c) popiera karmienie i pielęgnowanie dzieci przez same matki;

d) stara się chronić dzieci, poczynając od chwili urodzenia—od niebezpieczeństw im zagrażających z opuszczenia, ze złego obchodzenia się, z gorszących przykładów, — słowem, udziela im opiekę we wszelkich położeniach, w którychby ona niezbędną się okazała;

e) rozciąga nadzór nad postępowaniem osób, którym piecza dzieci bywa powierzaną, poczynając od akuszerek, mamek, nianiek, bon i dalszych dziecinnego wieku dozorców płci obojga;

f) udziela nagrody osobom, które szczególne położą zasługi na polu opieki nad dziećmi;

g) niesie w miarę środków pomoc materyalną ubogim rodzicom i dzieciom opuszczonym;

h) umieszcza ubogie dzieci w odpowiednich instytucyach, warsztatach i tym podobnych zakładach, lub też u osób prywatnych;

i) wywołuje do życia zakłady, zadaniom Towarzystwa odpowiednie, którychby potrzeba się okazała i istniejącym zakładom w miarę środków, przychodzi z pomocą;

k) organizuje ze swych Członków-lekarzy specyalne rady, mające udzielać pomoc lekarską matkom i dzieciom ubogich rodziców i rozciągać nadzór nad sanitarnemi ich potrzebami;

l) dopomaga za pośrednictwem swoich Członków i Władz rządowych do pociągania do prawnej odpowiedzialności osoby, nadużywające służącej im nad dziećmi władzy.

II. Skład Towarzystwa.

3. Towarzystwo składa się z Członków:
a) zwyczajnych,
b) czynnych,
c) honorowych i protektorów.

Członkami wszystkich trzech kategoryi mogą być osoby płci obojej.

4. Członkiem zwyczajnym może być każdy, wnoszący rocznie przynajmniej rubli 3, lub jednorazowo rubli 30.

5. Członkami czynnemi są osoby, które oprócz opłaty ustanowionej dla Członków zwyczajnych, przyjmą udział przez osobistą pracę w przeprowadzaniu celów Towarzystwa. Osoby chcące się zapisać na Członków czynnych, winny być przedstawione na piśmie Komitetowi przynajmniej przez pięciu Członków czynnych; przyjętemi zaś zostają do ich grona, po dopełnieniu balotowania w łonie Komitetu.

UWAGA 1-a. Komitetowi służy prawo zwolnienia Członka czynnego od składek pieniężnych.

UWAGA 2-a. Wszelkie wybory osób, dokonywają się przez tajne głosowanie.

6. Członków honorowych i protektorów wybiera Komitet według swojego uznania, ze względem na dobro Towarzystwa.

III. Władze Towarzystwa.

7. Sprawami Towarzystwa zawiaduje:
a) Ogólne Zebranie,
b) Komitet Towarzystwa,
c) Zarząd.

Wszystkie trzy pomienione Władze obradują w Warszawie.

8. Ogólne Zebrania Towarzystwa są zwyczajne i nadzwyczajne.

Na Ogólnem Zebraniu mogą być obecni Członkowie wszystkich kategoryj; wszakże prawo głosu służy tylko Członkom czynnym. Ogólne Zebranie zwyczajne zbiera się raz na rok, w miesiącu Lutym.

Ogólne Zebranie nadzwyczajne, może być zwołane przez Komitet w razie uznanej potrzeby.

Ogólne Zebrania zagaja Prezes Komitetu, a następnie odstępuje przewodnictwa Członkowi Towarzystwa, powołanemu na każdy raz większością głosów obecnych. Członkowie Komitetu nie mogą być wybrani na przewodniczących Ogólnym Zebraniom.

9. Ogólne Zebranie:

a) wybiera Członków Komitetu i Komissyi rewizyjnej;

b) zatwierdza ostatecznie etat;

c) wysłuchuje i zatwierdza roczne sprawozdania z czynności Towarzystwa;

d) stanowi o wnioskach przedstawionych przez Komitet, a dotyczących zmiany Ustawy oraz rozwiązania Towarzystwa, lub innych tym podobnych kwestyj.

Na posiedzeniu rocznem Lutowem, rozdają się również nagrody przez Towarzystwo udzielane.

UWAGA. Członkowie Towarzystwa mogą składać wnioski swoje na piśmie na dni 30 przed Ogólnem Zebraniem do Komitetu, opatrzone podpisem przynajmniej 40 Członków Towarzystwa. Komitet wnioski te, o ile ważność ich uzna, przedstawia Ogólnemu Zebraniu.

10. Do prawnych postanowień Ogólnego Zebrania, potrzebną jest obecność przynajmniej 50 Członków czynnych, nielicząc w to Członków Komitetu i Zarządu.

Wrazie mającej zapaść decyzyi co do zmiany Ustawy lub rozwiązania Towarzystwa wymagana jest obecność $1/3$ Członków czynnych, a decyzya zapaść winna $3/4$ głosów na zebraniu obecnych.

Gdyby jednak pierwsze w tym celu zwołane zebranie do skutku nie przyszło, wówczas Komitet oznacza dzień drugiego zebrania w terminie miesięcznym, a zebranie to wyrzeka ostatecznie w prawnym komplecie większością głosów.

11. Komitet składa się z 40 Członków i odnawianym być ma tak, iżby 8-iu ustępowało corocznie. Członkowie wychodzący mogą być na nowo obrani.

UWAGA 1-a. Założyciele Towarzystwa, którzy w liczbie 40 niniejszą Ustawę podpisują, stanowią pierwszy skład Komitetu.

UWAGA 2-a. W pierwszych latach istnienia Towarzystwa, los oznaczy wychodzących corocznie 8-iu Członków Komitetu, aż do czasu uregulowania 5-o letnich kadencyi

UWAGA 3-a W miarę śmierci lub dobrowolnego usunięcia się pewnej liczby Członków Komitetu w ciągu roku, Ogólne Zebranie dopełni odpowiednich wyborów.

12. Członkowie Komitetu wybierają corocznie ze swego grona Prezesa i 2-ch Vice-Prezesów z możnością ponownego wyboru tych samych osób. Podobnież Komitet wybiera ze swego grona Sekretarza i jego Zastępcę.

13. Komitet zbiera się w początku każdego kwartału na posiedzenia zwyczajne. Posiedzenia zaś nadzwyczajne, zwołuje Prezes lub zastępujący go Vice-Prezes w razie uznanej tego potrzeby.

14. Do prawnych postanowień Komitetu niezbędną jest obecność przynajmniej 11-tu Członków, licząc w to przewodniczącego.

Postanowienia zapadają większością głosów obecnych na posiedzeniu Członków; w razie równości, głos przewodniczącego przeważa.

15. Komitet załatwia następujące czynności:

a) wybiera Członków Zarządu Towarzystwa;

b) balotuje Członków czynnych;

c) zaprasza honorowych i protektorów;

d) deleguje Członków swoich do spełniania jego zleceń;

e) rozbiera i zatwierdza etaty, instrukcye, wnioski przedstawione sobie przez Zarząd;

f) przyznaje na wniosek Zarządu nagrody osobom, które położyły szczególne zasługi na polu opieki nad dziećmi;

g) składa Ogólnemu Zebraniu sprawozdanie z czynności Towarzystwa i przygotowuje wnioski co do zmiany Ustawy lub rozwiązania Towarzystwa.

16. Zarząd Towarzystwa składa się z 7-iu Członków, którzy wybierają z pośród siebie corocznie Przewodniczącego i jego Zastępcę.

Co rok wychodzi jeden z Członków Zarządu i zastąpionym być ma wyborem Komitetu.

Wychodzący może być na nowo obranym.

UWAGA. W pierwszych latach istnienia Zarządu, los oznaczy wychodzących, aż do czasu uregulowania siedmio-letnich kadencyj.

Do ważności postanowień Zarządu, niezbędną jest obecność przynajmniej trzech jego Członków, wliczając w to Przewodniczącego.

Wrazie wydalenia się na czas dłuższy Przewodniczącego i jego Zastępcy, zastępuje ich miejsce Członek Zarządu, upoważniony przez Przewodniczącego.

17. Posiedzenia Zarządu odbywają się raz na miesiąc lub częściej, w miarę potrzeby.

Zarząd wydaje decyzye większością głosów obecnych na posiedzeniu Członków.

Wrazie równości zdań, głos Przewodniczącego przeważa.

18. Zarząd Towarzystwa:

a) mianuje dla siebie Sekretarza, oraz Skarbnika z pomiędzy Członków czynnych, bez prawa głosu w Zarządzie;

b) powołuje z grona Członków czynnych, specyalne Delegacye i zaprasza Członków czynnych na opiekunów dzieci; naznacza im zakres działalności i udziela odpowiednie piśmienne, przez Komitet zatwierdzone instrukcye.

c) przedstawia Komitetowi wnioski swoje, dotyczące kierunków i środków działania Towarzystwa, i wykonywa rozporządzenia Komitetu;

d) układa roczny etat i do zatwierdzenia Komitetowi przedstawia;

e) składa Komitetowi sprawozdanie roczne z swoich czynności;

f) zarządza funduszami i majątkiem Towarzystwa w zastosowaniu się do decyzyi Ogólnego Zebrania i Komitetu;

g) i w ogóle działa w kierunkach Art. drugim powyżej wskazanych.

IV. Środki Towarzystwa.

19. Materyalne środki Towarzystwa są następujące:

a) składki Członków;

b) ofiary i zapisy;

c) przychody ze skarbonek, które Towarzystwo urządzać ma prawo;

d) dochody: z wystaw, ze sprzedaży wydawnictw Towarzystwa, z odczytów, koncertów, widowisk, urządzanych przez Zarząd i t. p. źródeł;

e) procenta od kapitałów i nieruchomości Towarzystwa;

f) zapomogi, jakieby ofiarował Rząd lub Instytucye.

V. Prawa i obowiązki Towarzystwa i jego Członków.

20. Towarzystwo pozostaje pod zwierzchnictwem Ministra Spraw Wewnętrznych.

Towarzystwo uwolnione jest od opłat stemplowych, ma swoją pieczęć i korzysta ze wszystkich przywilejów Instytucyom dobroczynnym służących.

21. Władze Rządowe udzielają Towarzystwu pomoc prawną w rozwijaniu się jego działalności. Towarzystwu służy prawo przedstawiania Rządowi potrzeby urządzeń, wspierających cele Towarzystwa.

22. Członkowie czynni Towarzystwa, zaopatrzeni są w znak szczególny, którego okazanie legitymuje ich do działań opiekę nad dziećmi znamionujących i upoważnia do żądania pomocy właściwej Władzy.

23. Tak Członkowie Towarzystwa, jak i osoby do Towarzystwa nie należące, wrazie dostrzeżenia faktu, któryby wymagał dania opieki lub pomocy, czy to matkom czy też dzieciom, mogą udawać się do właściwych opiekunów, którzy w razie uznanej potrzeby, przedsięwezmą w granicach możności odpowiednie środki zaradcze.

VI. Przepisy dodatkowe.

24. W razie, gdyby Towarzystwo z jakichbądź powodów zaprzestało swej działalności, pozostały majątek jego ma być przez Komitet użyty na dobroczynne cele.

25. O rozwiązaniu Towarzystwa donosi Komitet Ministrowi Spraw Wewnętrznych, oraz podaje o tem do wiadomości publicznej, przez pisma codzienne.

GDZIE PRACA
DLA KOBIET NASZYCH?

V.

Modniarstwo.

(Dokończenie patrz Nr. 6).

Do zajęć, które w zakresie modniarstwa mogą dać kobiecie względnie korzystny sposób zarobkowania, należy niewątpliwie *wyrób krawatów* i tak zwanych *żabotów*.

Przedewszystkiem, nauka zabiera stosunkowo bardzo niewiele czasu, a wynagrodzenie za pracę jest wyższem niż za inne prace igielne.

Uczennice posiadające zręczność i gust, potrzebują na naukę najwyżej miesiąc czasu,—a płaca jaką następnie otrzymują wynosić może 10 do 20 rubli miesięcznie.

Wszędzie też robota krawatów jest w ogólności dobrze płaconą i zatrudnia ogromną ilość rąk kobiecych.

W Nowym-Yorku naprzykład, fabrykacya krawatów przyszła już do znaczenia przemysłu samoistnego, a w Niemczech również, szczególniej w Wiedniu, przemysł ten bardzo poważnie się przedstawia [1]).

U nas, do ostatnich prawie czasów, fabrykacya krawatów była nadzwyczaj zaniedbaną i lekceważoną, a summa za jaką wyroby te były sprowadzane z zagranicy, dochodziła do 200,000 rubli rocznie.

Przed paru dopiero laty, zwrócono na tę gałąź modniarstwa bliższą uwagę i fabrykacya krawatów podniosła się nieco; niemniej jednak dostarcza ich nam nie mało zagranica, a jeżeli jaki, to ten właśnie pieniądz możnaby nazwać wyrzuconym.

Jak już wspomnieliśmy, przygotowywanie krawatów nie przedstawia żadnych trudności; nie ma tu ani sekretów fabrykacyjnych, ani też potrzeba specyalnych zdolności,—a zresztą faktem jest, że i te zakłady na małą skalę, które obok innych przedmiotów mody, zajmują się także i przygotowywaniem krawatów, dobrze wychodzą na tem.

Sądziłbym przeto, że założenie, o większych rozmiarach „*specyalnego zakładu szycia krawatów*“ w Warszawie, na wzór fabryk takich, jakie oddawna już istnieją w Wiedniu i innych miastach większych, nietylko że przedsiębiercy mogłoby przynieść poważne zyski, nietylko, że uczyniłoby zbytecznem sprowadzanie produkcyi zagranicznej, ale co najważniejsza dla nas w tej chwili, dałoby korzystny sposób zarobkowania niemałej liczbie kobiet.

Nim jednakże podobny zakład większy powstanie, byłoby, podług mnie rzeczą dobrą i praktyczną, gdyby, zamiast nadmiernej liczby szwalni, pracowni sukien i t. p. powiększyła się ilość, choćby i drobniejszych zakładów, mających głównie na celu fabrykacyę krawatów. Znane nam są fakta, że i teraz już, fabrykacya ta zapewnia znośny byt niejednej rodzinie uboższej.

W tem miejscu wypadałoby mi powiedzieć, o niejednem jeszcze zajęciu, mającem związek z modniarstwem i w ogóle ze strojami damskiemi.

Wypadałoby przeto przejść kolejno zatrudnienia takie jak np.: różne roboty włóczkowe, szydełkowe i t. p.; praktyka jednak uczy, że dział ten pracy kobiecej nie jest zbyt wdzięcznym i korzystnym pod względem materyalnym.

Wszystkie te tak zwane „robótki damskie,“ mogą być bardzo odpowiednie i pożyteczne, nawet, lecz dla tych tylko kobiet, które nie potrzebują ani troszczyć się *na razie* o chleb powszedni, ani lękać się o każde... jutro.

Natomiast, jeżeli idzie o rozszerzenie pola zarobkowania kobiety na polu modniarstwa—i odnoszenie ztąd większych korzyści, to najważniejszą podług mnie staje się: *kwestya zbytu*.

Tak nazwane „magazyny mód i strojów“ jakie widzimy w Warszawie, opierają się po największej części na fałszywej zasadzie. Kosztowne sklepy, komfort i blichtr powierzchowny kosztują wiele i wymagają niemałych wkładów, które użyte dla rozwinięcia produkcyi i zawiązania szerszych stosunków handlowych, mogłyby przynieść zysk nierównie większy, dając przytem i możność podniesienia nędznej płacy pracownic.

Nie przeczę, że dla dogodzenia *pewnej części* publiczności, komfort ów jest potrzebnym; ale żeby on miał być jedną z głównych podstaw przemysłu modniarskiego,—na to zgodzić się niepodobna.

Praktyczne zresztą przykłady pouczają, że o ile owe imponujące niby magazyny mód, nie cieszą się częstokroć zbyt długą egzystencyą, o tyle znów pracownie, acz dobrze urządzone, lecz skromne, umieszczane w lokalach zwyczajnych, wyrabiają się i rozwijają.

Gdyby manija naśladownictwa i porywania się odrazu na rzeczy wielkie, mniej udzielała się tym, co od skromnych przedsiębierstw począć winni, wówczas niewątpliwie, więcej kobiet w przemyśle modniarskim mogłoby pracować samodzielnie i zdobywać sobie byt niezależny.

Mówiąc to, mam na myśli nietylko Warszawę, lecz i miasta prowincyonalne. I tutaj także, niejedna z kobiet pragnących przyjść z po-

[1]) „Praca kobiet“ podług dzieła Wirginii Penny.

mocą rodzinie, mogłaby założywszy skromną pracownię wraz z fabryką np. kwiatów, krawatów i t. p., znaleźć tę pomoc i stać się użyteczną. Żony np. lub córki urzędników, nauczycieli i t. p., byleby miały środki dla fachowego przygotowania się w Warszawie,—nie powinnyby nawet w mniejszych miastach prowincyonalnych, gardzić pracą modniarską, która, umiejętnie zastosowana do potrzeb miejscowych, może zawsze stać się korzystną.

Zakładane obecnie w miastach prowincyonalnych magazyny strojów, opierają się, po największej części, na sprowadzaniu wyrobów gotowych z Warszawy i w tem właśnie leży błąd ograniczający zyski właścicielek tychże magazynów.

Magazyny warszawskie wysyłają zwykle magazynom prowincyonalnym, albo wyroby wyszłe już z mody, albo też w ogólności takie, na które w Warszawie przy wybredniejszym guście publiczności, trudno byłoby znaleźć nabywców. Ztąd więc magazyny prowincyonalne, nietylko, że przedmioty sprowadzane z Warszawy, muszą sprzedawać po znacznie wyższych cenach, ale nadto nie mogą mieć wyrobów świeżych i modnych, pomimo, że warunek to nader ważny dla publiczności prowincyonalnej, choćby dla tego, że każda moda utrzymuje się tam dłużej niż w miastach wielkich.

Jeżeli przeto przemysł modniarski ma się stać korzystnem źródłem zarobkowania dla kobiet mieszkających na prowincyi, to przedewszystkiem powinien oprzeć się na *produkcyi miejscowej*, prowadzonej przez ręce udoskonalone fachowo, czy to w „szkołach rzemiosł,“ czy też w pierwszorzędnych magazynach warszawskich.

Niezależnie od tego, dla naszej produkcyi modniarskiej, istnieje jedno jeszcze szerokie, a niezmiernie korzystne pole zbytu. Polem tem jest rozległy Wschód ze swemi niezliczonemi potrzebami, które należy nam również i w zakresie modniarstwa eksploatować.

Przedmioty takie, jak np. kapelusze, krawaty, stroiki i t. p. — we wszystkich punktach Rossyi znajdują chętny i łatwy pokup, a płacone są stosunkowo lepiej, niż wiele innych wyrobów dostarczanych tam z Królestwa, lub z zagranicy.

Zachodzi tu wszakże jedna trudność: zawiązywania stosunków stałych, na które w każdym razie liczyćby można.

Praktyka dotychczasowa wykazała, że nabywcom rossyjskim, robiącym u nas zakupy lub zamówienia w większych ilościach, nie zawsze ufać można.

Z drugiej zaś strony, pracownie mniejsze, nie są w stanie zawiązywać szerszych takich stosunków handlowych, ani zajmować się bezpośrednio ich wyszukiwaniem, choćby z tego względu, że to musiałoby ograniczać ich produkcyę, odrywać od pracy i oddziaływać niekorzystnie na jakość wyrobów.

Wobec takiego stanu rzeczy, przy ułatwionej kommunikacyi z Cesarstwem, utworzenie w Warszawie stałego pośrednictwa z Rossyą, w zakresie choćby jużtylko przemysłu modniarskiego, uważałbym za rzecz ze wszech miar korzystną i niezbędną.

Domaga się tego nietylko interes przemysłu naszego, ale i interes tysięcy kobiet, pracujących lub pragnących pracować, które przy większych widokach zbytu, mogłyby pozyskać i stokroć większe widoki zarobkowania.

Nakoniec, wobec tego faktu, że wszelkie wyroby modniarskie i galanteryjne tutejsze, znajdują—jak wspomniałem—korzystny zbyt w Rossyi, byłoby nader pożądanem, założenie w Warszawie „*wielkiego magazynu strojów i przedmiotów mody.*“

W magazynie takim mogłaby być prowadzoną produkcya na wielką skalę i wprost ztąd w większych ilościach wysyłaną do różnych miejscowości Cesarstwa.

Zdaje się, że użycie kapitału na tego rodzaju przedsiębierstwo nie byłoby zbyt ryzykownem. Owszem, przedsiębiercy przy umiejętnem prowadzeniu takiej pracowni na wielką skalę, robićby nawet mogli „świetne interesa,“ a równocześnie i tutaj znowu, niemała liczba rąk kobiecych znalazłaby korzystniejsze, niż w magazynach zwyczajnych, zatrudnienie.

Ogólnie biorąc, przemysł modniarski może dać kobietom naszym, bez względu nawet na obecną liczbę rąk już na tem polu zajętych, dość zyskowną pracę; lecz nastąpić to może wtedy głównie, gdy przy rozszerzonej i racyonalniej skierowanej produkcyi, pojawią się środki, przy pomocy których, mógłby być również rozszerzonym i uorganizowanym zgodnie z potrzebami, zbyt wyrobów naszych.

Jan Jeleński.

Z TYGODNIA.

Po szalonym tegorocznym karnawale nastały ciche dni postu; od zabawy i tańca z dźwiękiem skocznego mazura w uszach, z głową pełną marzeń nieurzeczywistnionych, słówek pochlebnych a niestety... nieszczerych, trudne to przejścia do zastanowienia się i zrobienia obrachunku z sobą i z... kieszenią.

Wątpimy, czy rezultat tego obrachunku zadowolni Was, czytelniczki, czyście po przetańczeniu i niedospaniu tylu nocy, zyskały co więcej nad bladość twarzyczki, sine obwódki pod oczami i stosy gałganków zmiętych...

Z kieszenią bodaj czy nie gorzej się dzieje, ze względu na panujący zbytek, chęć dorównania zamożniejszym i tę myśl naganną — olśnienia.... chyba samej siebie. Bo czyż już na balu nie krążą złośliwe słówka, półuśmiechy, ujemne komentarze o kobiecie strojnej w atłasy i aksamity, gdy ją stać zaledwie na muślin!...

Bale kostiumowe, które moda w tym roku wprowadziła—ogromne pochłaniały sumy. Kostium choćby skromny, lecz dlatego że odwzorowywa czasy dawne, a więc nierównie bogatsze, nie obejdzie się bez starych koronek i brylantów. A wiadomo ile to pieniędzy pochłania. Dama średniowieczna, lub markiza z lat ubiegłych, nie ubiorą się w atlas lichy; potrzeba na wierne odwzorowanie epoki: lamy tkanej srebrem, brokateli i aksamitu cennego.

Ów bal perkalikowy, głoszony przez wszystkie pisma, niestety, nie doszedł do skutku, znajdując opozycyę—aż trudno to powiedzieć—w kobietach, które myliły się, sądząc, iż mniej wdzięcznie w skromnych sukienkach wyglądać będą. Zastąpił go świetny wieczór kostiumowy u hr. Ordynatów Z., który na wspomnienie zasługuje z tego względu, iż wbrew przyjętemu obecnie zwyczajowi, rozpoczął się o godzinie 5 po południu i tańce jako w ostatni wtorek, z uderzeniem północy ustały i muzyka umilkła, a szanowni Gospodarstwo dali tem przykład uszanowania tradycyi, wykluczającej wszelkie zabawy i wesołość z uderzeniem godziny postu.

— Post, to pora koncertów i odczytów.

Wielki koncert pod kierunkiem dyr. Zarzyckiego, na korzyść niezamożnych studentów Instytutu rolniczo-leśnego w Nowo-Aleksandryi (Puławach), niezapełnił sali, z ujmą wyglądających pomocy, a szkoda, bo i program urozmaicony, dobór wykonawców, cel tak piękny, godzien poparcia i umiejętność kierownika zapowiadały go świetnie. Widać, Warszawie wypoczywającej jeszcze po hucznych ostatkach i po rozkoszach tańca, nie mogły wrażenia duchowe zasmakować.

A szkoda, powtarzamy, wykonanie było świetne — całość bez usterków wzorowa.

„Dźwięki uroczyste Liszta, rozpoczęły koncert, nadając mu symfoniczny charakter.

Po tym prześlicznym, rzec można poemacie, usłyszeliśmy koncert Mendelsohna, odegrany na fortepianie z towarzyszeniem orkiestry, przez młodego amatora, wychowańca Instytutu puławskiego p. Włodzimierza Klawera.

Przyznajemy się do odrobiny wątpliwości, jaką nam nieznane imię pianisty wzbudzało; zostaliśmy za to upokorzeni, a zarazem olśnieni świetną grą i mistrzowskiem wykończeniem— wytrawnego artysty.

P. Klawer jest znakomitym pianistą, gra jego daleko wychodzi poza granice dyletantyzmu, pewność siebie, biegłość i subtelne cieniowanie—oto główne jej cechy.

W Nocturnie Chopina, w rapsodyi Liszta wrażenia te bardziej się jeszcze spotęgowały, a huczne oklaski nie amatora lecz artystę nagradzały.

O grze p. Górskiego czyż potrzeba mówić; smyczek jego mistrzowsko w szalonym tempie dźwięczał po strunach, a „Suita“ Raffa, świadczyła o talencie i wzmagającej się technice.

Część wokalną wypełniła p. Szlezygier-Kamińska odśpiewaniem „Ronda“ z „Włoszki w Algierze“ Rossini'ego i dwóch wdzięcznych piosenek Zarzyckiego. Głos dźwięczny, rozległy, wykonanie wzorowe; z żalem myśleliśmy, dlaczego p. K. tylko jako amatorka talent swój produkuje, z ujmą dla sceny.

Część deklamacyjną miała za przedstawicielki dwie gwiazdy naszej sceny: panią Popiel-Święcką i pannę Deryng.

Pierwsza, z subtelnymi wdziękiem i finezyą wypowiedziała „Samolubnę“ i zachwyciła słuchaczów.

Panna Deryng pierwszy raz z estrady koncertowej wygłosiła pełen poetycznego natchnienia i głębokiej boleści poemat, przezwany „Dzwonami“ napisany do „Marche funèbre“ Chopina. Przy wspaniałych, pełnych grozy, boleści i agonii śmiertelnych dźwiękach, deklamacya p. Deryng z porywającą siłą wypowiedziana, głębokie sprawiła wrażenie. Akompaniował p. Hertz.

Utwór ten warto aby raz jeszcze z estrady koncertowej dał się słyszeć szerszemu kołu słuchaczy.

— W Towarzystwie muzycznem na koncercie wystąpiła p. Łazarewiczówna, uczennica profesora Schlötzera, dowodząc grą swą, iż ma niezaprzeczony talent, z pożytkiem kształcący się pod kierunkiem wytrawnego nauczyciela; z czasem p. Ł. niewątpliwie na artystkę się pokieruje.

Dlaczego jednak w Warszawie znanej z zamiłowania dyletanckiego w muzyce, koncerta dyrekcyi teatrów, tak wzorowo urządzane, nie zapełniają sali? Zdawałoby się, że wpierw przeszkadzała im ranna pora, jako nie zawsze i nie jednemu dogodna.

Niedzielny koncert wieczorem odbyty, również nie przynęcił nawet grą Wieniawskiego publiczności.

Odegrał Wien. z niezrównaną techniką koncert Schumanna (a minor) wymagający niezmiernej biegłości i wprawy. Pomimo to wyszedł on z jasnością i niezmierną ekspresyą. Nigdy może artysta niegrał z taką potęgą i czuciem, przezwyciężając trudności i górując nad niemi.

Orkiestra uwerturą z „Eurjanty,“ dzielnie się wywiązała ze swego zadania.

Pani Lewicka, Hermanówna i p. Chodakowski część wokalną wypełnili.

— A teraz o przedstawieniach porannych, których inauguracyę obecnej dyrekcyi zawdzięczamy.

Pierwsze z nich odbyło się w niedzielę, miejsca wszystkie zajęte były; powinno to przekonać dostatecznie o ileby obniżenie ceny mogło wpłynąć i na wieczorne przedstawienia.

Widowisko wprawdzie wielką było przynętą, bo aż cztery sztuki się na nie złożyły, z których jedna oryginalna p. Świderskiego „Jesienią“ znana już ze sceny Eldoradowej.

Wyborna ta komedya, dzięki grze artystów zyskała jeszcze na wyrazistości typów.

„Chłopi arystokraci,“ ludowa sztuka Anczyca, niegdyś z wielkiem powodzeniem grywana, i teraz godnych znalazła przedstawicieli w pp. Galasiewiczu, Holtzmanie, pani Zimajer i Majeranowskiej.

„Wesele w Ojcowie“ odtańczone przez dzieci, wybornie ubawiło szczerze młode pokolenie, których mnóstwo przedstawicieli znalazło się na sali.

P. Popiel-Święcka subtelną i koncertową grą swą w obrazku „O czem marzą młode panienki?“ niemało ozdobiła to pierwsze z porannych przedstawień, które sądząc po pierwszym początku, świetnie się zapowiadają.

— Pisząc o teatrze i artystach, donieść musimy czytelniczkom, że p. Kochańska zbiera laury

i tryumfy w Petersburgu, czarując tamtejszą publiczność. Dziś już obok Patti stawiana, a niebawem, kto wie—czy pierwszą śpiewaczką w Europie, pierwszą gwiazdą nie będzie uznaną.

— W obecnych czasach wyzyskiwania pracy ludzkiej, jakże pięknie przedstawia się szlachetny czyn hr. Stanisława Zamoyskiego, właściciela dóbr Maciejowieckich i Matuszewskich, który z uwagi na wzrastającą drożyznę, uwiadomił wszystkich oficyalistów, że z dniem 1 Lipca r. b. podnosi im płacę o 30 % w stosunku rocznie pobieranej pensyi.

Samodzielnie, bez żadnego nacisku, jedynie z własnego poczucia, podniesienie wynagrodzenia pracownikom, dowodzi szerokiej uczciwości i sumienności pracodawcy. Czyn godzien naśladowania.

— „Kuryer Codzienny" zajmujący się żywo każdą filantropijną myślą, pomieścił bardzo ciekawy projekt,—zebrania funduszu na „Przytulisko" dla sług emerytek i na nagrody dla takich, które pracowitością, uczciwością i wiernością na nie zasługują.

Projekt ten zasadza się na pobieraniu od sług zmieniających służbę po 30 kop. kwartalnie i takąż kwotę od państwa, jeśli sługa na drugi kwartał zostanie. W takim zaś razie, gdy służąca przesłużyła rok cały i na następny pozostaje u tych samych państwa, ci płacą do kasy jednego rubla.

Opłaty te będą jako kara dla sług często zmieniających służbę, a dla państwa stanowić mają rodzaj wynagrodzenia, wnoszonego do kasy ogólnej, z której służące zapomogę czerpią i na starość utrzymanie mają zapewnione.

Dla uczciwych, dobrze prowadzących się i nie zmieniających często służby, przeznaczone będą storublowe nagrody. Pomyślano w tym projekcie o przytulisku dla sług emerytek, pozbawionych sił lub niezdatnych z powodu wieku do pracy.

Po piętnastu latach, summa zebrana z tego źródła przedstawia się kolosalnie, bo 700,00 rs. wynosi; lecz autor cyfrę sług oznacza na 20 tysięcy, gdy ich jest przeszło 40,000 w Warszawie; więc rezultat składek przejdzie o wiele tę summę, i przyczynić się może do umorálnienia i poprawienia bytu materyalnego tylu dziesiątek tysięcy biednych istot.

Życzymy szczerze, aby inicyator projektu zajął się jego urzeczywistnieniem i porobił stosowne kroki dla wprowadzenia w życie tej szczęśliwie obmyślanej myśli.

— Zarząd Osad rolnych, dbały o powiększenie funduszu w celu wychowania moralnego młodych przestępców i zapewnienie im uczciwą pracą bytu—urządza szereg odczytów.

Zaproszeni przez zarząd Towarzystwa, raczyli udział przyjąć i przyrzekli wypowiedzieć odczyty, panowie:

Feliks Kucharzewski, inżynier, redaktor „Przeglądu Technicznego" pod tyt. „O Jerzym Stephensonie."

Wojciech hr. Dieduszycki pod tyt. „O Sokratesie i Platonie."

Dr. Stanisław Smolka, prof. uniwersytetu krakowskiego pod tyt. „Niepoprawny ród."

Dr. Józef Rostafiński, prof. uniwersytetu krakowskiego, p. t. „Nowy zwrot w poezyach Asnyka."

Dr. Kazimierz Morawski, prof. uniwersytetu krakowskiego p. t. „Wymowa starożytności."

Dr. Paweł Popiel, b. profesor b. szkoły głównej p. t. „O związku ducha klasycznego z nowoczesną literaturą."

Dr. Hubert hr. Krasiński, p. tyt. „Pasożyty, jako przyczyny chorób" i

P. Sygurd Wiśniowski, p. tyt. „Szkice z Ameryki."

O czasie odczytów, stosowne ogłoszenia oznajmią.

M. R.

RODZICE I DZIECIĘ.

przez

ADOLFA DYGASIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy)

W sprawach edukacyi rodzinnej, czyli domowej, dużo dobrego zrobić może głos opinii powszechnej, podobnie jak wspiera on potężnie inne społeczne zadania, pobudzając i kształcąc sumienie jednostek.

W klasach mniej oświeconych, dziecię uważa się jakoby rzeczowa własność rodziców, i ci rodzice nie doznają znacznych skrupułów, jeżeli z dzieckiem postępują niewłaściwie.

Domowe gorszące waśni, częstokroć połączone z obelgami słownemi i czynnemi, walka o potrzeby codziennego życia, praca mechaniczna, gruba rodziców, towarzystwo całe, w którem oni przebywają, są to bezwarunkowo sprawy pierwszorzędnego znaczenia i wpływu na wychowanie dziatwy klas roboczych.

Moraliści różnych narodów, widzą ratunek w wychowaniu, ale nie ma zgody w poglądach na tę sprawę.

W tym stanie rzeczy, jaki trwa, dzieci ubogich warstw ludności dojrzewają szybko pod względem umysłowym; proces ich wychowania dochodzi do pewnego punktu i zostaje zamknięty w nader szczupłym zakresie. Pojęcia, uczucia, krystalizują się, rzeczywistość nie pozostawia dla tych istot najmniejszej wątpliwości. Tajemnice czy zagadki życia zostają objaśnione prędko i życie nie ma już żadnego uroku. Jeszcze może niejasne pojęcie i wiara w siły nadprzyrodzone są tutaj jakimś teoretycznym pierwiastkiem. Ale jak to wszystko biedak pogodzi w głowie swojej? Nauczają go o miłosierdziu Bożem, tymczasem psy bogatych ludzi zjadają pokarmy, z braku których umierają dzieci jego. Czemuż go przynajmniej nie nauczycie, iż człowiek ma obowiązek umierać dla swego społeczeństwa raczej, aniżeli sięgnąć ręką po cudzą własność? Jeżeli mi kto zarzuci, że nauki takie są udzielane, odpowiem mu, iż nauka wtedy jest coś warta, kiedy ją znać w życiu. To też nie dziw, jeśli w rozpaczy dochodzi się do przekonania, iż ilość szkół w państwie, nie ma związku z ilością domów karnych. Bo istotnie, nie ilość tutaj ma znaczenie, ale jakość. Kilku lub kilkunastu dzielnych rzemieślników wywrze wpływ niewątpliwie na cały swój cech, ale właśnie po warsztatach i fabrykach tych kilku brakuje.

Nędza nieraz przegryza społeczne organizmy, a ci, którzy obowiązani są złemu zaradzić, pozostają obojętni.

Pozostawiając na boku kwestyą wpływów działających na dziecię ubogich rodziców, uderza nas niewątpliwie i najbardziej okoliczność krótkiego czasu, jaki tu zużyty zostaje dla osiągnięcia celów wychowawczych. Najgłówniej zdaje się zależeć rodzicpm oraz społeczeństwu, ażeby fizycznie oraz intelektualnie niewykończony organizm, zastosowany został do najcięższego rodzaju pracy. Jeżeli praca tu jest mierna, jeżeli dozór pobłażliwy, to jeszcze pół biedy. Zwykle atoli jest inaczej. Dosyć przebiedz biedniejsze dzielnice naszego miasta, aby się naocznie przekonać o prawdzie słów tych. Malcy, którzy zaledwie od ziemi odrośli, dźwigają wielkie konwie wody lub noszą ciężkie kosze z węglami, przyczem, odzież ich w porze zimowej jest gorzej niż niedostateczna. Fizyognomie tych chłopców są zupełnie dojrzałe, a odpowiedzi ich dowodzą, iż przeciąg lat jakich jedenastu, dał im poznać zupełnie rzeczywistość. Gdzie się tak prędko zamyka proces wychowawczy, tam nie możemy wnosić o jego doskonałości; prędki bowiem rozwój znamionuje zawsze niższy gatunek wychowany.

Niechże się nikt nie dziwi w następstwie, jeśli tak wychowany człowiek pójdzie za głosem popędów, właściwych niższemu rodzajowi uspołecznienia. Wysokie prawdy moralne potrzebują dobrze przygotowanej intelligencyi, gdy tymczasem umysłowość naszego robotnika, zaledwie wzniosła się ponad stan dzikości i z wyrobów bieżącej cywilizacyi, samo tylko używanie jest ona w możności przyswoić sobie.

Kiedy się spojrzy w świat salonów, policzy rozrywki i bale, rozpatrzy wogody i zadowolnienie jednych, a z drugiej strony zaniedbanie zupełne drugich, mimowoli przychodzi na myśl pytanie, jak może być społeczeństwo tak niedbałem czy niesprawiedliwem w interesie własnym. Czyżby właściwsze uzdolnienie sił tych, nie wyszło na korzyść ogólną? Dużo się robi tu i owdzie, aby podnieść klasy pracujące; u nas ruch pod tym względem rozpoczął się także, nie należy jednak sądzić, że wszystko dopięte zostało; owszem zrobiono nadzwyczajnie mało. Rodzinę taką możemy zreformować zwolna tylko przez szkołę, ale przez szkołę dobrą.

Nie tu miejsce jednakże mówić, jaką szkoła być powinna. Chodzi o to, aby społeczeństwo dojrzałe uważało za własne niejako dzieci i dzieci tych, którzy dla różnych przyczyn nie są w możności podnieść skali moralnych przymiotów w rodzinie swojej. Zdaje się, iż do tego wydziału spraw społecznych, głos sumienia powszechnego bardzo słabo dotychczas zastosowany został; filantropi tylko pojedynczy, lub uczeni teoretycy pracują na tej niwie,—ale to nadzieję jedynie lepszej przyszłości zwiastuje. Teraźniejszość tymczasem przedstawia się opłakana.

Stan taki szczególniej w większych miastach zasługuje na uwagę.

Po wsiach rodzinne życie całe i wychowanie dzieci biedaków, pozostaje więcej w rękach przyrody, która w postępowaniu swojem jest konsekwentna. I jej to zawdzięczać należy wyższy poziom moralności wieśniaka. Tutaj, zaprawdę, mniej jest strażników tej moralności, mniej i dozorców praw ludzkich, mniej lekarzy ciała oraz duszy, a jednak pod każdym względem lepiej się przedstawia wieśniacza rodzina. Powiedziećby można, że i grubsze przesądy są tu więcej na swojem miejscu, aniżeli w mieście. Wieśniacy nie mają takiego doboru nauczycieli w ogóle jak miasta, więc sprawa ich moralności powinnaby się znajdować w upadku. Nie, czysto ludzkie usiłowania pod względem wychowawczym, robią tam bardzo mało; jeżeli się skarżymy na złe metody nauczania w miastach większych, to w szkołach wiejskich niema żadnej metody. Chłopa naszego zbawia metoda naturalna; czego się od niej nauczył, to jest jego pozytywną i pełną wartości posiadłością umysłową. Być na łasce sił przyrodzonych, opierać się im, podsłuchiwać je, usiłować codziennie być z niemi w zgodzie, stosować czynności swoje do praw odwiecznych: jest to chyba nauka wyższa, aniżeli jej mogą udzielać dotychczasowe systemata szkolne, działające właśnie w kierunku wręcz przeciwnym. Społeczności ludzkie wyrastają naturalnie, i o tyle budowa ich jest trwałą, o ile wzrastanie naturalnem było.

(d. c. n.)

TEATR.

Ulubiony nowellista, *Henryk Sienkiewicz*, napisał przed dwoma już laty dramat pięcioaktowy: „*Na jedną kartę*", który w przekształceniu, jakie mu autor po głębszej zapewne rozwadze nadał, ujrzeliśmy d. 24 z. m. na scenie „Teatru Rozmaitości." Urok popularności, którą wdzięczny talent Sienkiewicza zjednał sobie w szerokich kołach, wieczór pierwszego przedstawienia dramatu naznaczył jakiemś świątecznem, uroczystem piętnem, stworzył w sali atmosferę tak ciepłą, tak, rzekłbym, porywającą do uniesień, że nie brakło ani jednego pozoru zwycięztwa temu pierwszemu zetknięciu się autora „Hani" i „Szkiców węglem" z publicznością. Zwycięztwo nawet istotnie było, ale—zwycięztwo nowellisty.

Zdaje nam się bowiem, że o ile „Na jedną kar-

tę" ma pewne motywa psychologiczne, bardzo wdzięcznej i subtelnej natury, które zamknęłyby się najchętniej w skromnej, a powabnej, — zwłaszcza u Sienkiewicza — formie nowelli, o tyle w takiem odmalowaniu postaci i charakterów, jakie spotykamy w dramacie, niema warunków iście dramatycznego potoczenia się wypadków. Tym motywem powieściowym, który ma w sobie cały urok świeżości i woń szczerej poezyi, o ile snuje go i przędzie wytworny talent Sienkiewicza, wydaje nam się owa „podwójna miłość" w sercu Stelli. To kołysanie się cichej, jak lilia marząca nad wodą, duszy szlachetnego dziewczęcia, na dwóch falach uczucia, z których każde jest silne, głębokie i szczere; ten dualizm serca, tak dziwny, tak napozór sprzeczny z naturą, a jednak mający w sobie niezmierny urok prawdy i wielką nawet dostojność etyczną w kształtach, jakie pozornemu paradoksowi nadał szlachetny talent autora—to byłby zdaniem naszem, uroczy wątek do nowelli, odbrzmiewający cichemi akordami bezwiednych i tajemniczych pasowań się duszy, niemych skarg i gorzkich uśmiechów. Cośby w tem było z Musseta, coś ze Słowackiego, ale toby mogło być bardzo ładne, bardzo wzruszające, a przedewszystkiem byłoby we właściwą formę ujęte. Czytelnik po za wrażeniem jednolitem, a poetycznem, jakie odebrałby z nowelli, nie szukałby czegoś więcej na prawo i na lewo, co mogło, co powinno się było pomieścić w artystycznej całości utworu, a czego niema na całym jego horyzoncie.

Horyzont ten w dramacie tak się przedstawia.

Książe Starogrodzki, zacny magnat, arystokrata z rodu, trochę zdziecinniały w swych zakrzepłych pojęciach kastowych, wychował swoim kosztem chłopaka ze wsi, pragnąc w nim znaleźć kiedyś wiernego i służbistego oficyalistę. Ale zawiódł się... Chłopak, dzięki wyjątkowym zdolnościom, przerósł nadzieje i pragnienia starego księcia. Energią charakteru i woli, popchnął on się na wysokie stanowisko w sferze inteligencyi, został lekarzem i ma prawo sięgnąć po dostojeństwa społeczne. W tej chwili np. kandyduje na posła i ma za sobą cały demokratyczny obóz stolicy. Gniewa to księcia; nie cierpi on może nawet doktora Józwowicza, ale go potrzebuje—dla spraw żołądkowych. Książę bowiem cierpi na imaginacyę; wydaje mu się, że jest chorym i że jeden Józwowicz posiada talizman na utrzymanie go przy życiu. Józwowicz kocha córkę księcia, Stellę, i związku z nią pragnie dla stworzenia sobie pozycyi towarzyskiej, dla wpływów i... potęgi. Nie tylko jednak potrzeba będzie przełamać opór stężałych przekonań rodowo-arystokratycznych księcia, ale i dwa aż sprzeczne pomiędzy sobą ale równie silne prądy uczucia w duszy Stelli. Kocha ona swego narzeczonego, Jerzego Pretwica, ale jeszcze szczerzej, jaśniej i czulej kocha hrabiego Drahomira. Tamten przygniata ją urokiem magicznym wzniosłej, fantastycznej po męzku, trochę Bajronizmem draśniętej duszy; ten porywa ją, jako istota, bliższa Stelli poziomem wyobrażeń i uczuć, również szlachetna, ale jakaś prostsza, łatwiejsza... Stella przegląda się w niej, jak w zwierciadle. Te dwa uczucia potrzeba złamać Józwowiczowi, trwożliwą i miękką naturę Stelli trzeba terroryzmem swej przewagi demonicznej nakierować ku sobie. Tego jednak nie umie zrobić Józwowicz, jakkolwiek tu leżał może w zawiązku najdramatyczniejszy konflikt całej akcyi. Idzie on drogą łatwiejszą — ażeby pójść tą drogą, nie potrzeba było może tyle gadać o swojej sile, energii woli, trzeźwości poglądu życiowego... Łamać duchy i serca—to zadanie godne ludzi złych ale wyższych inteligencyą. Podpatrzyć ów widoczny dla każdego dualizm w sercu Stelli i zadenuncyować przed Pretwicem romans jej z Drahomirem, włożyć im w ręce dwa pistoloty i pozwolić jednemu zginąć, aby drugiego wobec Stelli uniemożliwić, jako zabójcę—rzecz to bardzo łatwa, ale tak brutalnie podła, że ludzie, którzy całym wysiłkiem przechwalanej inteligencyi na takie tylko rzezimieszkostwo moralne wpaść umieją, nie rosną tak w życiu, jak na scenie—w bohaterów... A to jednak ma być, według autora, tytuł Józwowicza do bohaterstwa w dramacie... Ta płaska, trywialna zbrodnia, staje się właśnie tragiczną winą podłego podżegacza. Plan bowiem, w którym wszystko rzucił „na jedną kartę", aby odrazu uwolnić się od obu współzawodników, chybia.. W trzeźwych rachubach Józwowicza zaszła niedokładność, przeoczenie.. Zapomniał on, że Stella kocha obu—każdego inaczej, ale obu z równą siłą, że śmierć każdego z nich może ją—zabić.. I tak się stało: na wiadomość, że Drahomir zabił Pretwica, Stelli pęka serce... Miłość dla Stelli była jedynym ludzkim instynktem Józwowicza, człowieka zresztą uznającego tylko siłę faktów a szydzącego z praw moralnych. Nemezis pokazała się istotnie dłań piekielną: w tej chwili, gdy zdaje mu się, że zwyciężył na całej linii (bo deputacya wyborców oddaje mu równocześnie mandat poselski), to jedyne *dobro*, które czyściej ukochał, dla którego wyzuł się z reszty dobrych popędów, jasny ten sztandar, który zawieść go miał na wyżynę społeczną, otworzyć mu świat, stosunki, wielką karyerę—upada złamany własną jego ręką. Otwiera się przepaść.. Józwowicz przegrał wszystko... Tkwi żywioł wysokiej tragiczności w tem rozwiązaniu.

Z treści dramatu przekonaliśmy się, jak ważną w nim odgrywa rolę uczony doktor Józwowicz, wszechwładny w rodzinie i otoczeniu księcia *major domus*. Co on ma wyobrażać wedle zamiarów autora? Józwowicz jest dzieckiem ludu, wychowanem przez księcia. Nie przebył twardej szkoły życia, która hartuje i *rozgorycza*. I owszem—darzony łaską księcia, jego pieniędzmi wyhodowany, przesiąka przedewszystkiem nienawiścią dla tej kasty społecznej, której zawdzięcza szereg dobrodziejstw, a potem i dla tej, którą zdaje się wyobrażać, skoro poślubieniem Stelli pragnąłby z niej się coprędzej wydobyć. Pomimo tego wywiesza on ciągle sztandar demokratyczny i w pierwszej zaraz scenie w monologu mającym zarysować jego profil, wygłasza coś w rodzaju „deklaracyi praw człowieka." Jest kandydatem stronnictwa demokratycznego i powinienby jakieś posiadać zasługi w obec tego stronnictwa, kiedy gardłuje za nim tak poczciwy i szczery demokrata, jak Antoni Żuk, agitator wyborczy. W ogóle wszystkie pozory składają się na to, aby Józwowiczowi nadać charakter wyobraziciela pewnego obozu społecznego i politycznego... Tak wiele się o tem mówi w sztuce, że koniecznie w Józwowiczu pragnęlibyśmy rozpoznać dobre lub ujemne właściwości tej idei, którą wrzekomo wyobraża. Chcielibyśmy wyśledzić na nim, w czem tkwią żywotne siły demokratycznego ducha społeczności, w czem się pierwotna myśl demokracyi wykrzywia praktyką życia, gdzie tkwią jej błędy, zboczenia, fałszywe konsekwencye, a choćby i zbrodnie.... Józwowicz nie daje nam wszakże żadnych w tej mierze pojaśnień. Nie widzimy żadnych istotnych ogniw pomiędzy nim a ideą, którą ma wcielać: podłości jego nie są *konsekwencyą* demokratycznej wiary, nie tkwią w niej, jako embryon w ten a nie w inny kształt rozwinąć się zmuszony. Jest to—zdaniem naszem—postać chodząca luzem, zła i spodlona „na własny rachunek" i sama też jedna za ową nikczemność odpowiedzialna. Psychologiczne rozpoznanie postaci Józwowicza nie rzuci najlżejszego światła na wartość i charakter sprawy demokratycznej, nie odsłoni nam chorób i zboczeń żadnego obozu społecznego. Dyagnoza na takim organizmie dokonana, nie przekonywa o patologicznym stanie społeczeństwa.

Skoro zaś Józwowicz nie może wyobrażać pewnej grupy społecznej, pewnego wykolejenia się zbiorowego, interesuje nas przeto tylko, jako jednostka charakterystyczna, jako postać indywidualnie rozwinięta, silnie lub oryginalnie. Tu wszakże nie łatwiej nam przyjdzie porozumieć się z autorem co do jasności i konsekwencyi w charakterze jego bohatera i co do zasobu pierwiastków dramatycznych, tkwiących w Józwowiczu, jako zadatek przyszłego rozwoju. Pierwszy monolog Józwowicza zrobiony jest na model podobnegoż monologu Franza Moora w „Zbójcach," lub wstępnej sceny Mefistofela we „Fauście." Prawda, że pomiędzy płaskim, a gadatliwym blagieremz dramatu Sienkiewicza i obiema kreacyami poetów niemieckich, mającemi uosabiać pierwiastek zła w naturze ludzkiej i wszechświatowej, jest olbrzymia różnica w rozmiarach pojęcia i obszarze akcyi; że jednak *poza* Józwowicza i obu tamtych *bohaterów złego*, jest mniej więcej taż sama, że ma on odwagę zapowiadać się z równą pewnością siebie i równym polotem cynizmu, to podkopuje nietylko prawdę postaci, stawia ją na niewłaściwym koturnie i troszkę poprostu ośmiesza; ale co ważniejsze, zamyka przed Józwowiczem drogę stopniowego rozwijania się w postać iście dramatyczną, pod wpływem wypadków, bądźto przezeń wywołanych, bądź z nim wrogo ścierających się. Józwowicz nie może w toku akcyi róść, bo on już w pierwszej scenie przerósł demonicznie złą naturą swoją horyzont stosunków obyczajowych, które stanowią atmosferę dramatu. Zdawałoby się, że taki człowiek bezwzględny dla napotkanych przeszkód, uwielbiający siłę faktów, w rozwoju dramatycznej akcyi dokona cudów złego, zdobędzie się na wyrafinowane mistrzowstwa w zbrodni, które pozwolą przynajmniej uchylić czoła przed siłą i wynalazczością jego inteligencyi, na czarno zabarwionej. Tymczasem przekonaliśmy się, że Józwowicz ogranicza się w dalszym przebiegu akcyi na skromnej roli podżegacza, dmuchającego na żarzące już węgle, podniecającego zręczną dyalektyką słowa żywioły starć dramatycznych, już dane w zawiązku, które i bez jego usłużnego pośrednictwa, wywiązałyby się prawdopodobnie w też same konflikta zabójczej natury. Józwowiczowi zdaje się, że on coś robi, że trzyma nici w rękach, tymczasem wszystko dzieje się wewnętrzną logiką obok niego i mimo niego. Cały *czyn* jego (chyba nie dramatyczny!) ogranicza się na takiem ustawieniu Pretwica w galeryjce, że ten może być niepostrzeżonym świadkiem pożegnania Stelli z Drahomirem, który sam uznał pierwszy, że wyjechać mu z tego domu wypada....

Inne postacie w dramacie Sienkiewicza, na pozór bledsze, bliższemi są wszakże prawdy od Józwowicza, który wydaje nam się teoretyczną abstrakcyą, chybioną w założeniu i na niewłaściwym postawioną gruncie społeczno-obyczajowym. Antoni Żuk, zacny i szczerze demokratycznej sprawie oddany agitator wyborczy, jest postacią ciepło odczutą i z życia wykrojoną. Nie stwarza on wszakże pożądanej antitezy z Józwowiczem; jest bowiem figurą nawskróś polityczną, reprezentuje kierunek, ideę, podczas gdy doktor reprezentuje tylko własną nikczemność, — i doprawdy dziwić się należy, jak mógł Żuk tyle werwy, tyle ciepła duszy i siły przekonań, rzucić w ofierze tak mizernej egzystencyi. Chyba, że autor chciał go zrobić wyobrazicielem „nieopatrzności polskiej." Tak źle wszelako z nami nie jest—nawet w Galicyi... Posłem wybierają tam ludzi z charakterem i stwierdzoną czynami przeszłością polityczną, z wybitną zasługą obywatelską. Autor poprowadził akcyę wyborczą w dramacie pod godłem dwóch ludzi: cynicznego egoisty i poczciwego łobuza, młodego Miliszewskiego, który zakrawa czasem na kretyna. Nie śmielibyśmy takiego malowidła stosunków społecznych nazwać poważnem, autor zaś żadnym rysem nie naznaczył, że chce na tle danego motywu stworzyć humorystyczną farsę. Jeżeli to ma być głęboka i gorzka boleść nad upadkiem ducha publicznego w kraju, to zdaje nam się, że pessymizm to raczej z niedokładnego wniknięcia w naturę danych stosunków wynikły, pessymizm idealisty, który sam kreśli czarne widma na ścianie, aby się potem niemi przerażał. Szkoda więc twoich szlachetnych zżymań się, poczciwy Antoni Żuku! Wszystko to, co mówisz, jest piękne, jasne, z natury rzeczy płynące: nie potrzebnie tylko z tem wszystkiem jawisz się w tem miejscu i przed tym człowiekiem, niepotrzebnie zdyszany wbiegasz co akt regularnie — z twoim raportem do Józwowicza... Powinieneś był wpierw rozważyć u siebie, że tacy Józwowicze są materyałem na intrygantów prywatnych, ale nie na kaplanów idei, nie na szermierzy dobra publicznego. W tej pomyłce Żuka, leży uderzająca niewłaściwość roli, jaką odgrywa, poniżając poważny charakter sprawy, którą w sobie wciela.

Książę Starogrodzki jest miłą sylwetką zacnego arystokraty; z męzkich postaci, jedyna to prawdziwa i tyle mówiąca, ile potrzeba na odwzorowanie pewnej grupy społecznej. Za to dwaj inni wyobraziciele *rodu*: Drahomir i Pretwic, bezwiedne manekiny Józwowicza, nie wnoszą w łono dramatu żadnego pierwiastku objaśniają-

cego bliżej o przeznaczeniu i przyszłości tego szlachectwa, które dumnie i zacnie na barkach dźwigają; wnoszą weń tylko pierwiastek mdłej trochę czułostkowości. Malowidło to jednostronne i niewyczerpujące pytania. Gdy Kraszewski stworzył swą znakomitą antitezę dwóch światów w przełomie,—„Morituri“ i „Resurecturi,“ — to każdy z nas zrozumiał, co tu ma runąć, a co się z gruzów rozwinie do nowego życia; każdy zrozumiał przytem, jak się na te rzeczy zapatruje autor i gdzie jego ideał? W dramacie Sienkiewicza, widzimy rzucenie luźnych figur na szachownicę, po to tylko, ażeby stworzyły chaos pojęć i dążeń i żeby z zetknięcia się ich nie wyszła żadna myśl organiczna, żadna zasada krystalizacyjna dla ideałów społeczności. Jaka szkoda, że w tym chaosie gubi się i zaciera prześliczna postać Stelli, jedna z najwdzięczniejszych kreacyi niewieścich, jakie wydała nasza literatura.

Nie będziemy spierali się z autorem o pewne niezręczności w robocie scenicznej dramatu, które odbierają tokowi akcyi wypukłość plastyczny i siłę zamierzonych efektów. Jest to pierwszy utwór Sienkiewicza dla sceny, pierwsze zmierzenie się wybitnego talentu powieściopisarskiego z jej trudnościami. Obaczenie własnego dzieła na scenie, zapewne nauczyło autora niemało o warunkach i prawach dramatycznego tworzenia; dzisiaj on odczuł już sam zapewne, ile jest rdzeni żywotnej i prawdy realnej w postaciach, którym żyć kazał, nie wyposażywszy ich dostatecznym zasobem siły do utwierdzenia się na deskach sceny. Ale tam nawet, gdzie przegrywał początkujący autor dramatyczny, tam z chwałą wychodził zawsze pisarz i poeta. Mało posiadamy utworów scenicznych, któreby mogły wyrównać wytwornością formy, dystynkcyą dyalogu, poetycznością nastroju dramatowi: „Na jedną kartę.“

Najpierwsi artyści naszego teatru podzielili się rolami tej sztuki. Nie dziw więc, że szlachetny styl jej nie tylko nie uronił swojego wdzięku i subtelności, ale ubrał się w nowe jeszcze, porywające czasem powaby. Derynżanka, Żółkowski, Królikowski, Tatarkiewicz grali z mistrzowskiem wycieniowaniem bladych lub nieprawdziwych postaci; panie Ostrowska, Niewiarowska, panowie Leszczyński, Wolski, Prażmowski wiązali się w wytworną harmonię, a nieoceniony nasz reżyser dzisiejszy, p. Szymanowski nadał ich grze tło gustowne prawdziwego salonu.

Bronisław Zawadzki.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Gorączkowe wzruszenia przechodził Kraków w dniach ostatnich: mianowanie p. Zyblikiewicza marszałkiem krajowym, obranie burmistrzem na miejsce jego p. Ferdynanda Weigla, bal Mickiewiczowski, uświetniony bytnością Deotymy i bal dany w Sukiennicach na pożegnanie byłego burmistrza a obecnie p. Marszałka, były wybitnemi faktami na monotonnem tle naszego miasta, niezwykłym ruchem z tego powodu ożywionego.

Ludno też i gwarno, jak na sejmiku, było w starym grodzie Krakusa; mianowanie przez cesarza p. Zyblikiewicza marszałkiem, syna ludu najwyższym dostojnikiem, przyjęto niezwykłą radością.

Wybór p. Weigla na burmistrza, jako bezstronny i oparty na rzetelnej zasłudze w ludziach prawdziwie dobro miasta mających na celu, obudził niekłamane zadowolenie i tryumf zasady nad koteryjnemi zachciankami, wykazując przytem dojrzałość wyborców nie dających się obałamucić zgubnemi wpływami. O tych dwóch ważnych wypadkach rozpisywać się nie będziemy, przechodzę odrazu do tych faktów, jakie czytelniczki najbardziej zająć mogą.

Przyjazd Deotymy na bal Mickiewiczowski, powitano z najwyższym zapałem. To zbratanie się Warszawy z Krakowem przez posła tak sympatycznego i wysoko cenionego, było hasłem ciągłych owacyi, jakie spotykały tu wieszczkę. Ona, rzec można, nadała polot wyższy, uszlachetniła swą osobą zabawę, ona też w pierwszą parę z p. Zyblikiewiczem rozpoczęła taniec polski na balu.

Jak się ochoczo i serdecznie bawiono, opisywać Wam nie będę, zrozumiecie to sami, gdy wspomnę, iż co tylko Kraków i okolica miały najbardziej dystyngowanego, najgłośniejsze nazwiska arystokracyi, najsławniejsze imiona na polu sztuki i nauk, wszystko się znalazło w Sukiennicach, czcząc tem uroczystem zebraniem, pamięć wieszczki narodu.

Warszawa niemały kontygens gości dostarczyła.

Panie, dla powiększenia dochodu, sprzedawały pod koniec balu, pamiątkowe: medale, szpilki, głównie za inicyatywą Deotymy, umiejącej pogodzić cel szlachetny z zabawą, i godnie wywiązać z przyjętych na się obowiązków.

Nazajutrz miał miejsce odczyt Deotymy, ścisk na prelekcyi był niepamiętny; poetka rozpoczęła rzecz legendą o Benwenucie Cellinim, któremu, gdy zabrakło śpiżu do odlania posągu Prometeusza, kazał rzucać do ognia wszystkie przedmioty metalowe, jakie tylko znalazły się pod ręką.

Lutnista, widząc niepokój mistrza, strunę z lutni swej oderwał i dorzucił do topiącego się bronzu.

Gdy obecnych czyn ten rozśmieszył, Benwenuto rzekł: „Nie śmiejcie się, on z tą struną rzucił swe serce.“

W tych słowach mieści się aluzya do celu prelekcyi, którą Deotyma poświęciła na powiększenie funduszu na pomnik, z serca swego pomysł ten wysnuwając.

Nie mówimy tu o piękności odczytu, może aż za wiele przepełnionego bogactwem myśli podniosłych i ornamentyką stylową, bo brak nam miejsca—jest przeszkodą; zaledwie wspomnieć możemy o odczycie: „Biesiada u Ziemomysła,“ który większe jeszcze zjednał uznanie jak pierwszy, z powodu swej prostoty i siły.

Koło literacko-artystyczne uczciło wieszczkę przyjęciem świetnem. Była to biesiada duchowa, na którą złożyli się mistrze słowa i tonów, hołd oddając tej, która oprócz daru poezyi—jest niepospolicie rozumną kobietą.

Przy zwiedzeniu grobów towarzyszyli jej: marszałek Zyblikiewicz, prof. Łepkowski i p. Józef Szujski, dając hołdami temi dowód poważania gościa.

Jeden po drugim następowały bale i rauty ku uczczeniu poetki na szlaku u hr. Stanisławów Tarnowskich u ks. Jabłonowskiej u ks. Czetwertyńskich, gdzie księżna Marcelina uraczyła gościa grą cudną, niegdyś pod kierunkiem mistrza Chopina kształconą; pod urokiem tej gry, natchniona poetka zadeklamowała jeden ze swych poematów.

Bal marszałkowski przeszedł świetnością wszystko co dotąd wam opisywałam: olśniewał wzrokiem i rozmaitością. O godzinie 10 przybył na salę p. Marszałek, witany przez komitet balowy. Deotyma umyślnie przedłużająca pobyt w Krakowie dla tej uroczystości, wygłosiła piękny wiersz ku uczczeniu solenizanta, z którym następnie rozpoczęła taniec polonezem, w drugą parę prezydent miasta Dr. Weigel wiódł księżnę Jerzową Lubomirską, p. Popiel z panią Szlachtowską; wymieniamy tu tylko pierwsze pary z tego świetnego łańcucha mieniącego się barwami tęczy i błyskiem klejnotów.

Na dane przez heroldów hasło dźwiękami trąb, wysunął się z bocznego skrzydła Sukiennic pochód historyczny, przy powolnym rytmie poloneza: mężczyzni w kontuszach, damy w bogatych kostiumach przedstawiających stroje polskie z ubiegłych siedmiu wieków.

Pochód historyczny rozpoczynał wiek XIII, w którym prawo miejskie zaczęło wchodzić w życie i świetne szczególniej dla Krakowa przynosząc korzyści. Wiek to ascetycznych uniesień, surowej powagi, który wydał niezliczoną moc świętych niewiast, gdzie królowe schodziły do chat ubogich, panie były siostrami miłosierdzia dla nędzarzy. To też i strój ten ma pewną powagę zakonną, nie wolną jednak od bogactwa i przepychu. Pani Marya z Skrzyńskich Sokołowska z panem Muczkowskim na czele reprezentowała wiek XIII z archeologiczną ścisłością stosując strój swój do epoki. Twarz, jakby woal zakonny otaczały fałdy materyi białej jedwabnej. Czółko z białego aksamitu złotem lamowane, z ciężkim dyademem i sznurami złotemi. Spódnica z atłasu seledynowego w kwiaty czerwone i białe, obszyta koronką złotą. Kubrak karmazynowy aksamitny z obcisłemi rękawami zapinanemi na guziczki, z pasem ciężkim metalowym na kibici. Na wierzchu płaszcz biały wełniany, podszyty karmazynowym atłasem, oblamowany złotem i perłami, spięty na piersiach wielkiemi klamrami wyobrażającemi dwa gryfy z pereł, na ramionach orzeł srebrny. Trzewiki z końcami spiczastemi, złotem haftowane.

Dalej wiek XIV reprezentowała p. Matejkowa, którą prowadził książę Eustachy Sanguszko w pięknym stroju polskim. Suknia p. M. aksamitna ciemno wiśniowa z rękawami rozciętemi, na ramionach gwiazdy złote przytrzymujące dwa złote łańcuchy spięte u gorsu starożytną broszą z szmaragdów i brylantów. Na obcisłym kolecie z szlakiem, złotem haftowanym, dany był metalowy pas spadający na biodra, zakończony srebrnemi gruszkami. Tren sukni wiśniowy aksamitny, obłożony srebrną koronką. Spódnica z białej jedwabnej materyi w złote róże lamowana pasem złotym ze srebrem. Trzewiki aksamitne wiśniowe, śpiczasto zakończone, z srebrnym galonem. Ręce bez rękawic ozdobione na palcach staroświeckiemi sygnetami. Na głowie czapeczka złota, wysoka, nasiana rubinami, z frendzlą złotą, z spinką brylantową i opalową. Wiek XV hr. Stanisławowa Tarnowska, strój wiernie skopiowany z czasów Kazimierza Jagiellończyka. Na głowie czepiec w kształcie łodzi z szerokiemi końcami, nasadzonemi perłami i brylantami. Welon przezroczysty, oszyty złotą koronką, artystycznie na plecach był upięty. Na czoło spadały dwa rzędy pereł. Kaftan w dwóch kolorach: niebieskim i pomarańczowym z haftowanym herbem miasta na piersiach. Suknia z jednej strony niebieska, z drugiej pomarańczowa, złotą koronką ubrana i spięta klamrami na wciętych brytach, z pod których wyzierała spódnica ze złotej mory i takież rękawy; i drugie rękawy w kształcie wylotów: jeden pomarańczowy, drugi niebieski, podszyte pluszem oliwkowym.

(dok. n.)

WIEŻA NA DAGÖ.

NOWELLA

A. JÓKAÏ'A,

przekład

A. CALLIER.

(Ciąg dalszy).

III.

Następnej już wiosny wszakże wznosiła się owa wysoka wieżyca na skalistem wybrzeżu wyspy Dagö, o której istnieniu, prócz mieszkańców wyspy, nikt nie wiedział, zwykła bowiem droga morska, którą płynęły okręty, zbyt od tego punktu jest oddaloną.

Wyspa Dagö podówczas należała jeszcze do Finlandyi i sama w sobie tworzyła pod zwierzchnictwem Szwecyi małą republikę, w której wewnętrzne stosunki, nikt nie mógł się mieszać.

Namiestnik wyspy, tyle tylko potrzebował wiedzieć o mieszkańcach owej wieży, że są to cudzoziemscy żeglarze, których okręt tutaj się rozbił. Przywódzca ich jest rozumnym, poważnym człowiekiem, z którym można rozmówić się po holendersku i po łacinie. Zakupił on cały ten pusty pas ziemi, wybiegający w morze, od namiestnictwa za gotówkę i olbrzymią tę budowę

kazał wykonać własnym ludziom, wedle własnego planu. Tam zamieszkali oni wszyscy razem. Ilu ich jest, tego nikt wiedzieć nie może, nigdy bowiem nie wychodzą poza obręb swych murów. Co tam robią? I tego nie można dociec.

Co wszakże największą stanowi zagadkę, to pytanie co ci ludzie tam jeść mogą? Bo aby tak wielką wybudować wieżę, musi ich tam być co najmniej z pięćdziesięciu, a chociażby z rozbitego swego okrętu zdołali byli uratować wszystką żywność, to przecież ta raz musiała wyczerpać się, a byli tu już niemal rok cały i zawsze jeszcze nikt od nich nie wyszedł po zakupno żywności do pobliskiej wioski; samemi zaś rakami i ostrygami żyć przecież niepodobna, a nic nad to nie wydają ich skały.

I muszą też mieć pieniędzy niemało: bo kiedy latem stare wieśniaczki (młoda dziewczyna nie odważyłaby się za nic zbliżyć do ich wieży) całemi koszami nosiły wszelkiego rodzaju owoce i kwiaty do zamkniętej zawsze bramy, odgraniczającej obszerny dziedziniec, wówczas na zapukanie ich, otwierało się maleńkie w bramie okienko, ktoś odbierał kwiaty i dawał w zamian za to pieniądze.... najrzeczywistsze pieniądze. I bynajmniej nie fałszowane to monety: czasem bywał to rossyjski imperyał, innym znów razem angielski suweren, to znowu wielkie niemieckie talary i hiszpańskie duros, czasami bywały nawet i weneckie cekiny. Ale kto tam w wieży, może potrzebować kwiatów? I skoro na kwiaty mają pieniądze, dlaczego nie mają ich na żywność?....

Nakoniec zdecydował się superintendent wyspy, wielebny Jeremiasz Waimöner, za pomocą bezpośredniego doświadczenia, nabyć pewności względem zagadkowych wieży mieszkańców,, i.... jednego dnia złożył wizytę owemu zamkniętemu w swych murach właścicielowi wieży.

Wpuszczono go do środka, bo przychodził sam jeden i niezawiązywano mu bynajmniej oczu; niechaj sobie owszem wszystko najdokładniej obejrzy i opowiada potem, jak cała ta wieża z wszystkiemi swemi schodami, zbudowana jest z ciosowego kamienia i cegieł, jak wewnątrz podzielona jest na kondygnacye. Na dwunastem piętrze dopiero przyjął go sam pan domu. Ta część budynku tworzy jedną, jedyną gloryetę z wysoką kopułą. Ma ona trzy wielkie okna, zwrócone na morze, przeciwległe ściany sześciościennego pokoju, wyłożone są taflami drzewa. Wszystko tu każe się domyślać pracowni przyrodnika. Instrumenta astronomiczne, stare księgi chemiczne, laboratoryum z swemi kotłami i retortami. Następnie wszelkiego rodzaju posążki pogańskich bożyszczy i alchemistyczne Abracadabra, w które dziś już nie wierzy żaden rozsądny człowiek.

Pan domu, sam jest istotnie poważnym człowiekiem, którego rysy ani w rozmowie, ani w milczeniu nie zdradzają żadnego wrażenia.

Wskazał gościowi swemu miejsce obok siebie na ławce półkolistej, otaczającej ów wspomniany piec alchemika.

Jego wielebność przedstawił mu się i oświadczył, że pragnąłby również dowiedzieć się kogo ma przed sobą, ponieważ zasłyszał, że „pan" jest znakomitym przyrodnikiem, a to jest i jego ulubiona nauka. Możnaby wzajem udzielać sobie spostrzeżeń.

Pan domu powitał go uprzejmie, jako swego gościa. Za naciśnieniem tajemnej sprężyny, naraz zabłysnął jasny płomień w piecu chemicznego laboratoryum, a w krótkim czasie gospodarz otwarł drzwiczki pieca i wyjął ztamtąd chleb, szynkę i suszone figi, jakby to wszystko świeżo tam przyrządzone czy upieczone zostało. Z jednego kurka tegoż pieca, natoczył następnie świeżego piwa w dzban i wszystko to zastawił na małym stoliku przed gościem.

Wielebny Jeremiasz Waimöner przekonywa się, za pomocą kosztowania, że wszystko to jest istotnie tem, czem się być wydaje.

— Ależ, powiedz mi wreszcie, mój panie, zkąd dostajesz tutaj wszystkich tych środków żywności?

— To przecież rzecz całkiem jasna i prosta— odpowiada gospodarz jaknajpoważniej.— Na ziemi, wszystko tworzy się skutkiem zamiany materyi. Alchemiści przeszłości łamali sobie nad tem głowę, jakby z kamienia robić złoto. Ja odkryłem głębszą tajemnicę: jakim sposobem z kamienia otrzymywać odrazu: chleb, mięso, owoce, a morską wodę przetwarzać na wino lub piwo.

— Czy pan drwisz ze mnie?

— Masz pan przed oczyma dowód. Podemną i wkoło mnie nie ma nic prócz skały i morza. Ja miejsc tych nie opuszczam od dawna; i nie mógłbym nawet, bo nie posiadam żadnego statku. A przecież, żyję tu z pięćdziesięciu memi towarzyszami, nie żądając nic od nikogo. Cóż w mojej teoryi widzisz pan niemożliwego? Albóż składowe części chleba, mięsa i owoców, nie są wszystkie zawarte w kamieniu, w powietrzu, w wodzie? Jedyną tu tajemnicą jest przyspieszenie owej zmiany materyi, tak powolnej, wedle naturalnej procedury. To jest mojem odkryciem. Popatrz pan tu: ot masz pan w tej miseczce czarną, lepką ciecz. Poznać ją łatwo po zapachu: to smoła. A tu mamy przed sobą rozgrzany piec. Znanem zaś jest przecież każdemu już chemikowi, że z ognia i salmiaku można otrzymać lód. Kładę przeto tę miseczkę w rury tego pieca. Teraz bierzemy zegarki do ręki i liczymy minuty. Za siedmdziesiąt siedm sekund musi nastąpić już najdoskonalsza zamiana materyi. Otwórzmyż teraz rurę tego pieca. Ot widzisz pan i spróbuj. W miseczce są lody ananasowe.

Wielebnemu przeszło mrowie po skórze.

— Nie, panie, coś podobnego nie dzieje się bez pomocy piekła.

— Niezawodnie nie obywa się to bez niego. Dzieje się to w zupełności za jego przyczyną. Czy masz pan co przeciw piekłu?

— Czy mam co przeciw piekłu?!

— No tak. Boć to przecie wielce przestarzałe już poglądy. Prawdopodobnie sięgają one tych jeszcze czasów, gdy sądzono, że ta ziemia stworzoną została przez Boga. Ale od tego odbiegliśmy już dawno. Tożto główny warunek wszelakiego życia na tej cieniuteńkiej skorupie kuli ziemskiej, byśmy bezpośrednio mieli pod sobą piekło. Niebo mrozi wszystko. Piekło wszystko stwarza: drzewa, owoce, zwierzęta i ludzie.

— A, mój panie, to są teorye geognostyczne; ale człowiek nie jest przecie dziełem piekła.

— A czemżeby? Toż tak jest już stworzony, że marznie i dla tego musi zabijać inne zwierzęta posiadające futro, by dokuczający mu głód zaspokoić, zabija znowu inne; potem łaknie krwi swoich braci, ludzi. I miałożby takie zwierzę być tworem innego pierwiastku jak wiekuiście płonącego piekła?

— Zapominasz pan jednakże o cnotach ludzkich! Są przecież ludzie, co życie wiodą zgodnie z Bożemi przykazaniami.

— To też właśnie jest najsprzeczniejsze naturze. Owe przykazania wszystkie, wymyślone są tylko na udręczenie ludzkiego rodzaju. Cnoty są podniesieniem buntu przeciw prawom przyrody. Dobrem jest to, co dogadza ciału.

— A dusza, panie! A nieśmiertelna dusza?

— Ależ to jest najnikczemniejsze podejście, którem przez czas tak długi, umiano świat tumanić. Na udręczenie ciała wynaleziono tyrana, który mu każe umartwiać się, pościć, trapić i rozpaczać, który swoje uczucia ciału narzuca. Dla tego tylko, że owa mgła, owo nic, pochodzi z góry, z niebios, a ciało ztąd, z piekła? Cóż, jeśliby przyszło na myśl ciału, że ono panem a ów drugi jego niewolnikiem i że może go zdeptać?

— Panie! Twój dogmat wydaje mi się czemś straszliwem!

— Ale mnie z nim jak najlepiej. Moje całe wyznanie wiary streszcza się w tych słowach: Dobrem jest co d l a m n i e jest dobrem, co d l a i n n y c h jest złem,—nie jest złem.

— Panie! Czy i reszta twych towarzyszy wyznaje też same zasady?

— Nie uczę ich niczego innego i jak się zdaje, zupełnie z temi zasadami są szczęśliwi.

— Panie! A masz też rodzinę? Jestem pewny że nie!

— Owszem, żyje tu u mnie żeński *Anthropopitecus*, a potem i nierozwinięty egzemplarz *Simia anthropos, masculini generis.*

— I jakiejże religii uczysz pan swego syna?

— Tej samej, którą pan odemnie słyszałeś.

Wielebny podniósł w górę obie ręce, niby do odporu.

— „Silną twierdzą jest nam Bóg nasz!", A więc wiedz, mój panie, że tych progów ja już nigdy nie przestąpię, ale za to, skoro przybędę do domu, napiszę podanie do wysokiego Namiestnictwa, aby drzwi tej wieży wychodzące na naszą wyspę kazał zamurować, żebyście nie mogli nigdy przyjść do nas.

— My nigdy i po nic do was nie przyjdziemy; ale niezadługo wy przyjdziecie do nas. W tym roku głód nawiedzi waszą wyspę. O tem powiadomiły mnie już moje demony. I lud wasz pełzać będzie na kolanach do mnie, który umiem skałę zamieniać w chleb i choralnie śpiewać będzie: Alleluja szatanowi.

Duchowny zasłonił dłońmi uszy, by nie słyszeć jego bluźnierstwa, i coprędzej zbiegał z wszystkich schodów do bramy; odeszła go już raz na zawsze, chęć odwiedzenia apostoła piekieł.

IV

Właściciel wieży na Dagö, mówił prawdę. Jemu istotnie pomocnem było piekło w wydzieraniu skałom chleba. I to niemniej było rzeczywistym faktem, iż warsztatem owej przemiany materyi był chemiczny piec w gloryecie wieży.

Czary te odbywały się w następujący sposób:

W dniu, w którym stan barometru i krzyk mew, zwiastowywały zbliżającą się burzę, zgromadzał właściciel wieży swych towarzyszy w podziemiu tejże. Podziemie to nazywano „Kościołem." Była to ironia kościoła. Nie brakło tam i ambony, z której apostoł piekła głosił swą naukę.

A straszliwa to była nauka! Apoteoza wszystkich zbrodni, zachęcanie do wykonania wszystkich okropności. Dziesięcioro Bożych przykazań wprost odwrotnie pojętych, zatrutych nienawiścią dla całej ludzkości w ogóle, w szczególności zaś dla własnego narodu, a wśród niego—dla najbliższych krewnych.... ojca i braci. Grzech, w całej swej niezmiernej rozciągłości — podniesiony do cnoty. Przeniewierstwo i zdrada nazwane obowiązkiem najwyższym, a przekleństwo, rzucane na nas przez ludzi, najwyższą rozkoszą.

I podczas rozwijania wszystkich tych teoryj, mały syn jego, musiał zawsze siedzieć u podnóża ambony, na jej stopniach, by dziecięcą duszę jego wcześnie przesiąkły przekonania ojca i... by jego dzieło prowadził dalej,—gdy tamtego weźmą do siebie... piekieł demony.

W miejsce pieśni w kościele tym—słyszałeś szyderczy śmiech urągania.

— Wywróćcie wspak dziesięcioro przykazania. Bądźcie kłamcami, obłudnikami, krzywoprzysięzcami. Żądajcie dobra waszego bliźniego, zabijajcie, kradnijcie, poniewierajcie, złorzeczcie ojcu, dziadowi, a gdy spotkacie na drodze ów piękny kwiat, któremu na imię „kobieta" — zerwijcie go, rozedrzyjcie potem i rzućcie, gdy się wam znudzi.

Dziecko może nic nie rozumiało jeszcze z tego, co mu słuchać kazano.

— Jutro, lub może jeszcze dzisiejszej nocy piekło święcić będzie uroczystość radosną. — Na tę wieść, uczestnicy nabożeństwa powyciągali z podziemnego ganku małe swe łódki, z których każda zbudowaną jest na pomieszczenie trzech ludzi, z lekkiego dzewa i obita grubą skórą, i ustawili je w ciasnym kanale, który z podziemnych sklepień wieży, prowadził wprost na otwarte morze.

A kiedy nadeszła następnie burza, siedzieli już wszyscy w łodziach i czekali na „ofiarę."

Nadejść musiała z wszelką pewnością.

Mistrz sam, wraz z zapadnięciem nocy, szedł na gloryetę wieży, rozniecał w chemicznym piecu ogień, ożywiony wapnem, a podniecany jeszcze oxygenem i następnie z trzech ścian przeciwległych trzem oknom zdejmował drewniane tafle. Po za niemi były olbrzymie trzy wklęsłe zwierciadła z blachy, które olśniewające światło pieca odbijały i na trzy strony rzucały odblask na morza powierzchnię.

W taki sabat szatana, nie brakło jeszcze i dzwonów. W ukrytym pod gloryetą pokoju mieścił się ów wielki dzwon, który niegdyś stał się

był ich łupem. Mistrz, od czasu do czasu uderzał w ten dzwon, którego rozgłośne dźwięki biegły półokrągłem oknem wieży w dal wśród nocy.

Mieszkańcy wyspy nie mogli widzieć światła, ani też słyszeć dzwonu, wieża bowiem nie miała żadnego okna od strony wyspy.

Każdy przeto okręt, który w taką noc burzy, pojawił się w promieniu wyspy, musiał paść ofiarą piekielnej taktyki.

W zatoce, która z Baltyku prowadzi do odnogi Fińskiej, postawione były dwie latarnie morskie: jedna na szwedzkim brzegu w Gustavsxöru, druga na finlandzkiem wybrzeżu w Rewlu. Podczas ciemnej, burzliwej nocy, żeglarze kierowali się ich blaskiem. Apostoł piekła na Dagö, przecież wprowadzał ich w błąd, swem światłem i dźwiękiem dzwonu. Żeglarze sądzili, że mają przed sobą jedną z morskich latarni, gdzie mogą spokojnie zawijać; wielbili Boga że ich ocalił, sterowali okręt wprost ku światłu i w kilka godzin później, rozbijali się o rafy otaczające wyspę Dagö, a kiedy następnie, sygnały trwogi i wołanie rozpaczne rozbitków przedarły się poprzez szum i ryk bałwanów, rój łódek opuszczał swą kryjówkę, napadał na rozbity statek, mordował ludzi pozostałych jeszcze przy życiu i rabował wszystko, co było cennego na okręcie: pieniądze, towary, żywność zwoził to wszystko na ląd i ukrywał w sklepionych wieży piwnicach.

(d. c. n.)

— Dokończenie Nowelli Litwosa pod tyt. „W krainie złota," z powodu nagłego wyjazdu autora za granicę,—umieścimy w jednym z następnych numerów.

OGŁOSZENIA

przyjmują się w cenie 10 kop. za wiersz lub jego miejsce.

Do dzisiejszego N-ru dołącza się: Rycina kolorowana i Dodatek powieściowy, ...„Między Wrony"... 3.

Дозволено Цензурою. Варшава 25 Февраля 1881 года.

W Drukarni J. Bergera, ulica Elektoralna Nr 14. Redaktorka i Wydawczyni **Marya Ratyńska.**